GONIEC OBOZOWY

Pismo żołnierzy internowanych

NR 9 (89) W OBOZIE, DNIA 1 MAJA 1944 R. ROK V

Kto wezmie udzial w okupacji Niemiec

Jeden z dzienników angielskich wysunął projekt, aby okupacja ziem niemieckich po wojnie była dokonana wspólnie przez trzy armie: brytyjską, amerykańską i sowiecką, z których każda miałaby sobie powierzoną jedną trzecią całego obszaru Rzeszy. W związku z tym, urzędowy «Dziennik Polski» zgłosił poważne zastrzeżenie: zbrojna okupacja Niemiec po wojnie nie może być pojmowana jako sprawa prywatna trzech mocarstw. Jest to sprawa ogólno-europejska. W okupacji powinny uczestniczyć wojska wszystkich większych państw w Europie.

WSPÓLNA AKCJA ZBROJNA
wojsk polskich i sowieckich na kresach wschodnich

(PAT) Akcja polskich sił zbrojnych prowadzona na wielką skalę, nabrała dużego znaczenia na tyłach wojsk niemieckich, szczególnie na Wołyniu i Wileńszczyźnie. Na Wołyniu wzięto jeńców i zdobyto znaczną ilość broni.

Komendant okręgu rówieńskiego zgłaszając się do dowództwa sowieckiego podkreślił, że podlega rządowi polskiemu w Londynie, Naczelnemu Wodzowi oraz władzom w Kraju. »Mam rozkaz — oświadczył on — bić Niemców i w zakresie tej walki współdziałać z Rosjanami«. W odpowiedzi na to dowództwo rosyjskie przedstawiło zasady współpracy, podane przez sowieckie władze centralne. Celem porozumienia się ze swymi przełożonymi oficer polski zastrzegł sobie 4 dni czasu. Po upływie tego terminu, odpowiedź delegata na Kraj, uzgodniona z rządem w Londynie, została dowództwu sowieckiemu doręczona.

W wyniku nawiązanego porozumienia, oddziały polskie przeszły w rejon postoju wojsk sowieckich. Przybywające oddziały maszerowały z rozwiniętymi sztandarami biało-czerwonymi. Dowódcy ich wręczyli oficerom sowieckim zalakowane koperty, zawierające oświadczenie o podjęciu współpracy przeciw wspólnemu wrogowi, zgodnie z rozkazami konstytucyjnych władz polskich w Londynie.

JUŻ MILION OSADNIKÓW NIEMIECKICH
na ziemiach »Warthelandu«

Na obszarze tzw. »Warthelandu«, obejmującego ziemie województwa poznańskiego i niemal całego województwa łódzkiego, osadzony został milionowy z rzędu kolonista niemiecki. Fakt ten obwieścił z dumą „gauleiter" Greiser na zgromadzeniu publicznym odbytym z tej okazji w Łodzi, z udziałem 35.000 Niemców. Greiser podkreślił, że osadnicy ci stanowią przeszło połowę ogółu Niemców przesiedlonych w okresie obecnej wojny (reszta kolonistów skierowana została na Pomorze, do Czech oraz Alzacji i Lotaryngii).

Ostatnio kolonizacja niemiecka w Polsce wzmogła się przez sprowadzenie Niemców osiadłych w zagłębiu czarnomorskim, oraz w okolicach Żytomierza, których ewakuowano przed odwrotem z Rosji. Liczba tych kolonistów ma jeszcze wzrosnąć o dalszych 100.000. Pozostali osadnicy, to Niemcy bałtyccy (z Łotwy, Estonii i Litwy), besarabscy a także obywatele polscy narodowości niemieckiej, zamieszkali uprzednio w Małopolsce i na Wołyniu. Przypomnijmy, że według polskiego spisu ludności z r. 1931, ludność niemiecka w Małopolsce oraz na Wołyniu wynosiła łącznie 87.000 ludzi, z czego 47.000 przypadało na sam Wołyń.

W ten sposób faktem jest, że ziemie południowo-wschodnie Polski są już uwolnione z kolonistów niemieckich. Co się zaś tyczy przybyszów osiedlonych „w Warthelandzie", los ich wyjaśni się w przyszłości.

Czy premier Mikolajczyk wyjedzie do USA?
Doniesienia prasy szwajcarskiej z Londynu

Niektóre pisma szwajcarskie doniosły z Londynu, jakoby premier Mikołajczyk miał wkrótce podjąć podróż do Waszyngtonu celem odbycia rozmów z prezydentem Rooseveltem i innymi amerykańskimi mężami stanu w sprawie sporu polsko-rosyjskiego. Podróż ta była istotnie planowana w styczniu br., jednakże nasz premier musiał jej zaniechać w obliczu ważnych spraw, które go zatrzymały w stolicy W. Brytanii. Obecnie zamiar ten został podobno wznowiony.

Należy przypomnieć, że amerykański sekretarz stanu (tj. minister spraw zagranicznych Hull), w swoim ostatnim przemówieniu podkreślił, iż Stany Zjednoczone są w dalszym ciągu gotowe pośredniczyć między Polską i Związkiem Sowieckim.

Ambasador polski w Ameryce, Ciechanowski, po powrocie z Londynu wręczył w Waszyngtonie notę polską, wyjaśniającą nasze stanowisko w tym sporze. Jak podaje prasa szwajcarska, w nocie tej raz jeszcze zaznaczono, że wszelkie ewentualne zmiany w składzie rządu polskiego stanowią czysto polskie zagadnienie wewnętrzne i nie mogą być przedmiotem żądań czy nacisku ze strony obcych czynników.

Co się tyczy granic, rząd nasz, w dalszym ciągu przeciwstawiając się »dyktatowi«, podkreśla jednak swą pojednawczość, obstaje wszelako przy zachowaniu Wilna i Lwowa dla Polski. Ponadto rząd uważa, że sprawa granicy wschodniej nie może być rozstrzygnięta bez równoczesnego załatwienia sprawy granic zachodnich i północnych Rzeczypospolitej. Granice polskie muszą być przy tym określone układem ogólnym, obejmującym wszystkich sprzymierzonych, ile że sprawa ta obchodzi nie tylko Polskę i Rosję, lecz łączy się z całokształtem zagadnień europejskich po wojnie.

Zagadnienie polsko-sowieckie było podobno przedmiotem rozmów odbytych ostatnio w Londynie przez amerykańskiego wiceministra spraw zagranicznych, Stettinius'a z brytyjskimi mężami stanu.

Dalsze zabiegi gubernatora Franka
o zjednanie Polaków do walki z Rosja

Donieśliśmy już w poprzednim numerze »Gońca«, że w związku z pogorszeniem się położenia na froncie wschodnim, w stosunku Niemców do Polaków zaznaczyła się w Gen. Gubernatorstwie wymowna zmiana. Obecnie prasa szwajcarska podaje na ten temat dalsze ciekawe wiadomości.

Gubernator Frank wydał do ogółu ludności polskiej odezwę, w której stara się ją nakłonić do czynnego wsparcia wojsk niemieckich w walce z wojskami sowieckimi. Odezwa ta została rozlepiona we wszystkich miastach i gminach wiejskich, nie znalazła jednak żadnego oddźwięku. Wobec tego niepowodzenia, Frank zwrócił się o poparcie swych starań do szeregu wybitnych osobistości w Kraju, oraz do biskupów w Kielcach, Sandomierzu i Częstochowie. I tym razem spotkał się jednak ze stanowczą odmową.

Za karę wszyscy ci Polacy zostali niezwłocznie aresztowani. Nad opornymi biskupami roztoczono areszt domowy, inni zamknięci zostali w więzieniach. Od tego czasu prześladowania jeszcze się wzmogły.

Powazne zniszczenia w Poznaniu i we Lwowie

Ostatnie naloty na Poznań, dokonane w dn. 10 o godz. 13 i 24 kwietnia wyrządziły, jak stwierdzono, duże szkody. Dworzec przetokowy, zakłady lotnicze Focke-Wulff oraz fabryka Cegielskiego przerobiona na wytwórnię lotniczą, zostały poważnie uszkodzone. Pożary wzniecone bombami, były widoczne z odległości 250 km. Artyleria przeciwlotnicza była bardzo czynna, nad miastem rozegrały się walki lotnicze, w których strącono kilku myśliwców niemieckich.

Jak donoszą z Londynu, dzielnica miasta, która była objęta bombardowaniem, jest niemal wyłącznie zamieszkała przez Niemców. Do Polaków skierowano przez radio wezwanie, by trzymali się daleko od urzędów i zakładów przemysłowych.

W nocy z 19 na 20 kwietnia bombowce sowieckie dokonały ponownego nalotu na Lwów. Według sprawozdania pilotów, bomby zniszczyły całkowicie dworzec kolejowy, dzielnice zaś przyległe do niego objęte zostały pożarem, który był widoczny z odległości 150 km.

Z niewoli niemieckiej – do Szwecji

Szesnastu Polaków zbiegło z niemieckiego obozu jeńców w Norwegii i mimo ciężkich warunków zdołało przedostać się górami do Szwecji. Siedmiu spośród nich uległo tak poważnym odmrożeniom, że z wioski lapońskiej, do której dotarli, trzeba ich było przewieźć do szpitala samolotem sanitarnym. Jak donosi N. Zürcher Zeitung, zbiegli Polacy uskarżają się na bardzo złe obchodzenie się w niewoli.

INSPEKCJA ARMII POLSKIEJ W SZKOCJI
w oczekiwaniu dzialan wojennych na kontynencie

Prezydent Rzeczypospolitej Raczkiewicz dokonał ostatnio inspekcji wojsk polskich w Szkocji. Prezydentowi R. P. towarzyszyli: premier Mikołajczyk oraz minister obrony narodowej gen. Kukiel. Dokonując przeglądu, Prezydent oświadczył żołnierzom, że przybył do nich w obliczu spodziewanych wielkich działań wojennych na kontynencie europejskim.

W czasie inspekcji szkoły podchorążych, Prezydent R. P. stwierdził: »W ciężkich zmaganiach znamionuje Polaków rzecz godna podziwu, mianowicie zdolność przejścia do porządku nad osobistymi nieszczęściami i niczym nie zachwiana wiara w przyszłość. Polacy w Kraju nie baczą na bolesne straty, nie ma u nich miejsca na słabe charaktery. Kto zwątpi, ten nigdy nie osiągnie zamierzonego celu. Jestem pewny, mówił Prezydent, że reprezentujecie te same charaktery i tę samą siłę moralną, co nasi rodacy w Kraju«.

Premier Mikolajczyk
o oczekujacych nas zadaniach

W czasie przeglądu wojsk polskich w Szkocji, premier Mikołajczyk wygłosił do żołnierzy przemówienie w którym oświadczył:

»Gdy czasem do serc waszych wkrada się niepokój, pamiętajcie, by nie zmarnować kapitału moralnego, który Polska w tej wojnie nagromadziła, i by kapitał ten jeszcze pomnożyć. Tylko naród, który pozostał do końca wierny swoim obowiązkom, może domagać się od innych całkowitego wykonania zobowiązań. Wojna obecna wykazała, że nie ma takiego państwa, które mogłoby samo istnieć. Świat się skurczył i wszyscy są od siebie wzajem zależni.

Przed nami stoją następujące zadania: 1) Nic nie uronić z istotnych praw Polski, 2) Utrzymać najściślejszą współpracę w ramach obozu Sprzymierzonych, dochowując wiary zobowiązaniom, 3) Troszcze i walce o prawa narodu towarzyszyć musi troska o zachowanie sił społeczeństwa i myśl wykonania zadań jakie przed nami stoją«.

W końcu premier Mikołajczyk wyraził przekonanie, że olbrzymi rozwój techniki w tej wojnie i techniczne wyszkolenie szeregów wojskowych dają rękojmię, że po wojnie żołnierze będą mieli jako fachowcy pełne ręce roboty. Stworzą oni w Polsce lepsze warunki gospodarcze i społeczne oraz zapewnią w niej szczęście i wolność osobistą obywateli.

Polacy z Francji do Prus Wschodnich

Donoszą z Francji, iż nowe transporty Polaków kieruje się ostatnio do robót rolnych na wschód, w szczególności do Prus Wschodnich i na Pomorze.

Polska armia podziemna w walce

Podaliśmy niedawno dokładne liczby wykazujące działalność polskiej armii podziemnej w r. 1943. Obecnie rząd nasz ogłosił uzupełniające sprawozdanie, obejmujące miesiąc grudzień 1943 r. W ciągu tego jednego miesiąca, w walkach z żołnierzami polskimi zginęło 122 funkcjonariuszów Gestapo i żandarmerii wojskowej. Dokonano wypadów na 5 posterunków granicznych, przy czym zginęło 12 niemieckich strażników. Zniszczono 6 samochodów przewożących broń i amunicję.

Zdobycie samochodu panc.

Żołnierze armii podziemnej opanowali w Warszawie niemiecki samochód pancerny i zdołali go ukryć w bezpiecznym schronieniu. W całym mieście Niemcy zarządzili stan alarmowy i podjęli gorączkowe poszukiwania patrolowe, które jednak nie dały wyniku.

Urzedy niemieckie – ufortyfikowane

Nie tylko główne szosy, ale i boczne drogi chronione są przez Niemców celem zabezpieczenia ruchu transportowego. Na wszystkich drogach krążą nieustannie patrole, legitymując ludność i aresztując każdą podejrzaną osobę. Na skrzyżowaniach dróg stoją silne posterunki. Kolumny samochodowe posuwają się pod silną eskortą, uzbrojoną w broń maszynową.

W budynkach w których mieszczą się urzędy niemieckie, przeniesiono biura na piętra, piwnice zaś i parter przystosowano do obrony: okna są założone workami i zabite deskami, w których wykrojono strzelnice, budynek jest otoczony zasiekami.

Walki na Wilenszczyznie

Sztab Naczelnego Wodza donosi: na Wileńszczyźnie oddział polski, złożony ze 100 ludzi, zaatakował oddział niemiecki w sile 120 ludzi, będący na postoju. Wywiązała się zacięta walka, w której zginęło 38 Niemców, w tym dowódca oddziału. Straty własne wyniosły 5 zabitych. Zdobyto broń maszynową i amunicję. Inny oddział polski uderzył na mały garnizon niemiecki w Hołobach. Niemcy zmuszeni byli wycofać się, przy czym pozostawili 30 zabitych. Straty własne: 2 rannych.

Zastraszajaca smiertelnosc i nedza dzieci
w krajach okupowanych przez Niemcy

Jak wynika z ostatnio ogłoszonego sprawozdania Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie, sytuacja zdrowotna dzieci w całej niemal Europie jest bardzo zła. Wiadomości i cyfry, które powtarzamy tu za sprawozdaniem świadczą, że młode pokolenie niedostatecznie odżywiane, pozbawione tego wszystkiego co pozwoliłoby mu nabrać sił, spędzające zimę w zupełnie nieopalanych mieszkaniach, wystawione na coraz mocniej szerzące się choroby, przedstawia obraz wprost przerażający.

Przejawia to się przede wszystkim we wzroście śmiertelności. Oto cyfry: śmiertelność dzieci wzrosła w Belgii o 13%, we Francji o 16%, w Holandii o 28%, a w Warszawie o ... 78%.

Cyfry te są zupełnie zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, że racje przyznawane w krajach okupowanych są zupełnie niewystarczające; spadły one np. we Francji do połowy tego, co jest niezbędne dla życia, a w krajach centralnej Europy, przede wszystkim w Polsce, czasami nie można w ogóle dostać tego co by się należało na podstawie kartek. Tak np. sprawozdanie o którym piszemy podaje: „W Polsce brak niemal całkowicie kartofli. Przez całą zimę r. 1941 wydano po 7 1/2 kg w październiku i tyleż w listopadzie, w grudniu zaś wstrzymano wydawanie, tak że wiele rodzin nie otrzymało nic. Ilość mleka na rynku pokrywa zaledwie 1/4 potrzeb ludności, masło i tłuszcze może otrzymać jedynie 1/5 potrzebujących.

16 marca 1942 r. władze okupacyjne na ziemiach Polski, wcielonych do Rzeszy, zakazały sprzedaży jarzyn Polakom, pozbawiając w ten sposób ludność witamin“.

Jeśli wziąć pod uwagę, że we wszystkich krajach okupowanych ograniczono bardzo możność zakupu opału, to stanie się rzeczą jasną, iż dzieci niedożywione, zmuszone do życia w zimnych lokalach, muszą o wiele więcej chorować niż przed wojną. I tak stwierdzono w r. 1941 zwiększenie się ilości zachorowań na gruźlicę o 113% wśród ludności polskiej w Warszawie, a o 435% wśród ludności żydowskiej. Na całej przestrzeni Gubernatorstwa ilość zachorowań na tyfus wzrosła z 480 rocznie przed wojną na 2367 w pierwszym kwartale r. 1941. W drugim kwartale było takich wypadków już 6929, a w trzecim aż 13786.

Nędza, brak żywności, prześladowania polityczne rodziców pchają dzieci młodsze i starsze do pijaństwa i przestępczości. W Belgii np. ilość młodocianych przestępców wzrosła w pierwszym roku okupacji o 5 tysięcy.

Wszystkie dane, które tu przytaczamy, mają tak okrutną wymowę, że powinny one nas zachęcić do jak najwydatniejszego zwiększenia ofiar na pomoc dzieciom w Kraju.

BY DOBRZE BYLO OJCZYZNIE...

Pod takim hasłem uchwalali twórcy i ich zwolennicy 150 lat temu konstytucję 3 maja.

Nawiązywała ona — jak stwierdza jeden z naszych historyków, J. Siemieński — do świetnych tradycyj Rzeczypospolitej, kiedy to »wolność religijna i polityczna a obywatelska równość« spajały w jeden potężny organizm Polskę ówczesną. Ale przede wszystkim »pod opiekę prawa i rządu« brała ona

„lud rolniczy, spod którego ręki płynie najobfitsze bogactw krajowych źródło, który najliczniejszą w narodzie stanowi ludność, a zatem najdzielniejszą kraju siłę...“

Cała Polska budziła się wówczas — w dobie konstytucji 3 maja 1791 r. — do nowego życia, szukając w całym narodzie, we wszystkich jego warstwach, a przede wszystkim w najliczniejszej — w warstwie chłopskiej, sił do nowego życia.

I dzisiaj idą czasy nowe. Stary świat się wali. W gruzach leżą najbogatsze pałace, wielopiętrowe kamienice i przygarbione nędzą chaty chłopskie.

Wolności, do której — jak my — zdążały pokolenia, pozbawił naród nasz obcy ciemięzca. Pożar wojny zrównał nas we wspólnym i jednakim nieszczęściu, a braterstwo odżyło i zakwitło, jak nigdy dotąd, we wspólnej, nieustępliwej walce o byt, o życie.

Pozbawiono nas, jako naród, dachu ojczystego nad głową. Ale w tym ogromnym nieszczęściu, które stało się udziałem całego świata, odnajdujemy siebie i nasze odwieczne ideały, z których półtora wieku temu zrodziła się konstytucja 3 maja.

Chcemy wrócić do Kraju, w którym

wolność religijna i polityczna a obywatelska równość

wszystkich ludzi prawych naszą ziemię zamieszkujących — stanie się wreszcie rzeczywistością, o której marzyli, którą głosili i o którą walczyli niezmordowanie najlepsi synowie Rzeczypospolitej od jej zarania.

By dobrze było Ojczyźnie trzeba, ażeby każdy, ktokolwiek w niej się znajdzie, a rzetelnym zechce być jej obywatelem — czy to chłop czy robotnik, urzędnik czy uczony — miał zabezpieczoną pracę, wystarczającą do dostatniego życia, korzystał na równi ze wszystkimi z wolności niezależnego myślenia i wypowiadania się, by w miarę swych zdolności miał rzeczywisty dostęp do najwyższych nawet stanowisk, i ażeby poważany był nie dla urodzenia swego czy bogactwa, tylko dla pracy i zasług, jakie dla wielkości swego Kraju położy.



Zapowiedz rychlej inwazji
Zawieszenie swobód dyplomatycznych w Anglii

Znawcy prawa międzynarodowego mieli w tych dniach twardy orzech do zgryzienia. Oto Anglia, dbała zawsze o zachowanie wszelkich praw i zwyczajów międzynarodowych, musiała zawiesić na pewien czas prawo posłów zagranicznych do swobodnego poruszania się po jej obszarze, a także zabroniła im pisać listy do własnych rządów przy pomocy szyfrów. Zarządzenie to ma na celu dokładne zachowanie tajemnicy wojskowej w okresie daleko posuniętych przygotowań do wylądowania w Europie.

Należy przypomnieć, iż przywileje posłów i ambasadorów zagranicznych nie są uregulowane przez prawo pisane, ale raczej przez zwyczaje i tradycje międzynarodowe. Już przed wiekami posłowie, wysyłani przez jednych władców do drugich, byli nietykalni, ale starano się uniemożliwić im oglądanie krajów, w których przebywali. Powoli z rozwojem kultury przyznawano im coraz większe przywileje, do tego stopnia, iż w naszych czasach domy, które zajmują, uważane są za część ich własnego państwa. Nie wolno tam przeprowadzać rewizji i wchodzić bez zezwolenia posła. Poseł nie może być aresztowany, nawet w czasie wojny, a gdyby okazał się szpiegiem to można zażądać jego wyjazdu, ale nie można go karać. Zapewnione jest również prawo każdego dyplomaty do swobodnych podróży do jego kraju i do porozumiewania się z własnym rządem przy pomocy szyfrowanych depesz. Kurierzy, wożący listy dyplomatyczne, nie pokazują zawartości swych waliz przy rewizji celnej itd.

Jedyny znany w historii wypadek ograniczenia tych przywilejów zdarzył się we Francji w r. 1918 na kilka dni przed rozpoczęciem wielkiej ofensywy sprzymierzonych na froncie zachodnim. Rząd francuski prosił wówczas dyplomatów o przerwanie korespondencji z ich krajami. Obecnie Anglia zakazuje dyplomatom pisania listów bez wiedzy cenzury, a nawet zabrania im swobodnych podróży po kraju, jak również powrotu do ich własnej ojczyzny. Jest to zupełna nowość prawna i świadczy jednocześnie o bardzo poważnych przygotowaniach wojennych.

Nasze studia w Anglii

W słynnym uniwersytecie w Oxford w Anglii utworzony został polski wydział prawa. Według przyznanego statutu, profesorowie tego wydziału sami wybiorą swego dziekana, który będzie korzystał z uprawnień rektora polskiej szkoły akademickiej.

Rózne rodzaje internowanych
ciekawe uwagi szwajcarskiego uczonego

W początku r. b. liczono w Szwajcarii 70.493 osoby, które z tych czy innych powodów schroniły się na ziemi helweckiej. W tej liczbie było 30.781 cywilnych oraz 39.712 wojskowych. W stosunku do zimy r. 1941, kiedy prócz 12 tys. internowanych Polaków niemal nikogo więcej nie było, sytuacja bardzo się skomplikowała. Obecnie masa przedstawicieli najróżniejszych narodowości sprawia pewne kłopoty mieszkańcom Szwajcarii, tym bardziej, iż traktowanie uchodźców i internowanych nie może być ze względów prawniczych zupełnie jednakowe, a poza tym nawet wśród internowanych wojskowych istnieją pewne różnice.

Na ten temat wydano ostatnio ciekawą pracę prof. Wernera pt. „Czerwony Krzyż i Konwencje Genewskie“. Prof. Werner zgodnie z duchem międzynarodowych umów w Hadze (r. 1907) oraz w Genewie (r. 1929) rozróżnia wśród wojskowych trzy grupy. Do pierwszych dwóch należą internowani, trzecią stanowią zbiegowie z obozów jeńców. Zupełnie oddzielnie poruszona jest sprawa dezerterów z armii walczących.

Internowanych należy podzielić na internowanych właściwych tj. takich, którzy przybyli do kraju neutralnego z bronią i broń tę złożyli oraz rannych. Pierwsi są umieszczeni w specjalnych obozach pod nadzorem wojskowym i poddani krępującym ich swobodę przepisom, które na ogół dobrze znamy. Do drugiej kategorii należą internowani umieszczeni w kraju neutralnym, za wspólną zgodą kilku krajów walczących, celem wypoczynku lub leczenia (najczęściej ciężko ranni lub rekonwalescenci). Obie te kategorie otrzymują żołd jednakowy dla wszystkich narodowości, różny jednak zależnie od stopnia wojskowego. Mogą oni oprócz tego otrzymywać pewne sumy dodatkowe od swoich rządów, jak np. żołnierze angielscy czy amerykańscy obecnie; kraj neutralny tym się wcale nie zajmuje. Internowani wojskowi mogą być użyci przymusowo do pracy z wyjątkiem oficerów, w stosunku do których istnieją przepisy specjalne.

Co do uciekinierów z obozów jeńców wojennych, ich położenie prawne jest zupełnie inne. Art. 13 Konwencji Haskiej mówi o nich: „Państwo neutralne, które przyjmuje zbiegłych jeńców wojennych, ma ich pozostawić na wolności. Jeśli pozostaną oni na terytorium tego państwa, można im wyznaczyć miejsce zamieszkania“.

Nie są oni obowiązani przebywać w kraju neutralnym do końca wojny, przeciwnie mogą go w każdej chwili opuścić np. celem powrotu do armii walczących. W kraju neutralnym mają prawo mieszkać i utrzymywać się u krewnych lub znajomych. Ci, którzy znajomych nie mają, mogą być zgrupowani w obozach specjalnych (np. Rosjanie i Jugosłowianie) mają jednak o wiele więcej swobody, niż normalni internowani wojskowi.

Co do dezerterów, są oni traktowani jak zwykli uchodźcy cywilni.

W ramach tych rozważań jest rzeczą jasną dlaczego istnieją różnice pomiędzy różnymi gatunkami internowanych. Należy dodać, że uciekinier z obozu jeńców, jak też dezerter z armii walczącej, może żądać umieszczenia go w zwykłym obozie internowanych, jeśli przedstawi dostateczne powody.

Przygotowania do powrotu

Rozwój ofensyw rosyjskich na froncie wschodnim pozwala rządowi czeskiemu w Londynie na rozpoczęcie przygotowań do powrotu. Ostatnio rozważano sprawę utworzenia specjalnej delegacji, złożonej z kilku ministrów, która udałaby się na teren Czechosłowacji w chwili gdy tam wkroczą wojska rosyjskie i gdy wybuchnie powstanie przeciw Niemcom. Według projektu części członków gabinetu czeskiego, delegacja ta miałaby się osiedlić na Rusi Podkarpackiej, celem zaznaczenia, że kraj ten należy do Czechosłowacji.

16 pociagów wykolejonych

W wyniku działań oddziałów polskich, na linii kolejowej Krasne - Zborów - Tarnopol, a więc na bezpośrednim zapleczu frontu niemieckiego, wykolejono w ciągu 2 dni 16 pociągów. (PAT)

Pole do popisu - otwarte
Miedzynarodowa wystawa sztuki internowanych w Szwajcarii

Komisariat Federalny Internowania przygotowuje wystawę prac artystycznych internowanych, obejmującej zarówno rzeźbę, jak rysunki, obrazy itp. Wystawa ta w okresie sierpień-grudzień rb. objedzie wszystkie większe miasta Szwajcarii.

Na wystawę przyjęte zostaną prace artystyczne, charakterystyczne dla twórczości poszczególnych krajów. Sąd konkursowy do oceny prac, nadesłanych przez uczestników konkursu, zbierze się w lipcu. Szczegóły wystawy zostaną podane do wiadomości publicznej.

Obecnie Komisariat Internowania rozpisuje konkurs na plakat, w którym mogą brać udział wszyscy internowani.

1) Wielkość plakatu 1 m x 0,70 m
2) Projekt powinien być przedstawiony w 2 egzemplarzach: jeden z napisem niemieckim, drugi z francuskim. Ilość barw, użytych w afiszu, nie może przekraczać czterech. Tekst jest następujący:

Exposition d'arts des Internes Militaires en Suise

i

Kunst und Kunstgewerbe Ausstelung der Militärinternierten

3) Na dole plakatu należy zostawić wolny pas szerokości 10 cm, gdzie będą naklejone nazwy miast, w których wystawa będzie się odbywać.
4) Ostatnim dniem przyjmowania projektów będzie 15 czerwca rb.
5) Trzy najlepsze projekty zostaną wyróżnione nagrodami, wyznaczonymi w tym celu przez YMCA.

Bez wątpienia artyści nasi wezmą czynny udział zarówno w wystawie jak i w konkursie na plakat.

Powrót Naczelnego Wodza
z Wloch do Anglii

Naczelny Wódz, gen. Sosnkowski powrócił w dn. 17 kwietnia do Londynu z 2-tygodniowej inspekcji II korpusu we Włoszech.

Przed opuszczeniem Włoch gen. Sosnkowski wydał rozkaz pożegnalny, w którym stwierdza: »Dzisiaj całość Korpusu pod dowództwem gen. Andersa stoi na szlaku bojowym wiodącym do Polski. Droga jest jeszcze daleka i znojna. Poprzez góry i rzeki musicie sobie otworzyć drogę mieczem do Ojczyzny. Niech celnym okiem i silnym ramieniem waszym kieruje miłość Ojczyzny, chęć przyjścia z pomocą braciom w Kraju i chęć pomszczenia krzywd doznanych. Skoro wróg drogi zamyka, musimy go pobić i pobijemy! Na tym ostatnim szlaku niech Bóg Najwyższy wejrzy w serca wasze, niech was prowadzi i doprowadzi, i niech wam da rzetelną wiarę w wolność Ojczyzny«.

Zniszczenia we Francji

Ostatni numer »Journal Français« przynosi opis miejscowości w departamencie Pas de Calais, które uległy wielokrotnym bombardowaniom i zniszczeniom wojennym. Całe dzielnice w Calais i Touquet leżą w gruzach. W Boulogne dzielnica de la Beurrière, ulica du Pot d'Etain i sąsiednie są całkowicie zniszczone, tak samo port i składy przylegające. St. Omer jest stale nawiedzane przez bombowce Sprzymierzonych, ze względu na wielkie lotnisko niemieckie, a w Touquet zamieniono piękne pole wyścigów konnych na umocnienia forteczne i zapory przeciwczołgowe.

Nieustające bombardowania spowodowały zniszczenie we Francji 130 sal kinowych. Najmniej ucierpiały kina paryskie i marsylskie, natomiast sytuacja na prowincji jest o wiele gorsza.

I tak w St. Nazaire, Brest, Lorient i Le Creuzot wszystkie kina uległy zniszczeniu, zresztą wraz z całymi dzielnicami.

Polski II korpus nad rzeka Sangro

Wrazenia angielskiego sprawozdawcy wojennego

Według wiadomości z połowy marca, wojska nasze na froncie włoskim były w styczności z nieprzyjacielem nad rzeką Sangro. Znany korespondent wojskowy gen. Martin pisał wówczas w »Daily Telegraph«:

»Właśnie miałem przywilej odwiedzić polski korpus, który niedawno przybył na swój górski odcinek we Włoszech. Po przybyciu do polskiego dowództwa zetknęliśmy się z bryt. oddziałem łącznikowym, dowodzonym przez brygadiera... Jak wskazuje jego nazwa oddział ten służy jako ogniwo łączące wojska polskie z brytyjskimi. Nie posiada on żadnej funkcji rozkazodawczej, lecz rola jego jest ogromnie ważna. Tegoż wieczora byliśmy na obiedzie u gen. Andersa, który w pierwszej wojnie światowej walczył jako oficer kawalerii rosyjskiej. We wrześniowej kampanii w Polsce dowodził brygadą kawalerii. Brał on udział w 4 wojnach i był 8 razy ranny, jak o tym świadczy górny z jego czterech rzędów wstążeczek. Jednakże dźwiga on lekko swoją pięćdziesiątkę i jest wciąż jeszcze idealnym kawalerzystą — wysoki, szczupły, ruchliwy.

Nazajutrz rano udaliśmy się na zwiedzenie frontu w drodze przez sztaby dywizji i brygady aż do wysuniętych stanowisk. Z dowództwa brygady została właśnie znowu otwarta droga wspinająca się stromo po górskim zboczu, lecz tylko dla ruchu jednokierunkowego. Była to praca, która wymagała połączonego wysiłku ciągników, pługów śniegowych i rzeszy robotników zarówno z wojska jak i cywilnych Włochów. Tam nastąpiła przymusowa zamiana wozu sztabowego na dwa terenowe »jeeps«. Mój polski kierowca o hultajskich oczach, którego gęba szczerzyła w śmiechu rzędem złotych zębów, był naprawdę księciem kierowców. Pognaliśmy tą drogą wiodącą poprzez wąskie a głębokie wąwozy między wysokimi na 25 stóp*) ścianami śniegu, wpadając w szerokie wyrwy, podczas gdy nasz »jeep« (wymawiaj: dżiip) podskakiwał jak rumak. Im wyżej nas podrzucało, tym szerzej nasz kierowca szczerzył zęby — wprost aż uciecha dla serca! Z naszego śniegowego tunelu mieliśmy przelotny widok na grupkę szarych domów na grzbiecie wyniosłym na 4.500 stóp, a będącym naszym celem. Znaleźliśmy w małej wiosce jeszcze wiele domów stojących, w uderzającym przeciwieństwie do sąsiedniej wsi, gdzie — jak mi Polacy opowiedzieli — Niemcy zrównali z ziemią wszystkie domy oprócz jednego. Wioska sterczała na południowej krawędzi wielkiego koryta górnego biegu Sangro, do którego spoglądaliśmy teraz z góry. Daleko w dole w obszarze niczyim płynęła rzeka. Na przeciwległym grzbiecie znajdował się front niemiecki, podczas gdy poza nim wznosił się wysoki na 9.000 stóp masyw górski Maiella.

Wystarczyło pobyć kilka minut w tej wiosce, aby zdać sobie sprawę, co dla tych Polaków oznacza ich wejście do linii po latach oczekiwania. Ludzie ci walczyli w Polsce w r. 1939, a kiedy kraj ich został zalany falą najazdu, wygnani zostali niby obcy w cudze kraje. Niektórzy z nich byli aż na dalekiej Syberii, inni przeszli przez Francję jeno po to, żeby ulec po raz drugi wobec przeważającej siły i znowu ulec rozwianiu. Ci Polacy są istotnie ludźmi rozproszenia, który po ciężkich przejściach zdołali zebrać się razem z czterech krańców świata, aby odbić swoje dziedzictwo. Obecnie wspaniale uzbrojeni w sprzęt brytyjski znajdują się wreszcie w równych warunkach wobec nieprzyjaciela.

Nie jest to żaden nowy okres w polskiej historii. Prawie 150 lat temu w poprzednim okresie narodowego upadku polskie legiony Dąbrowskiego służyły pod Napoleonem w jego kampanii włoskiej 1797 r., w następstwie czego polski hymn narodowy zawiera przyrzeczenie, że Polacy wrócą z ziemi włoskiej do Polski. Dla tych Polaków, co dziś znajdują się we Włoszech, obietnica ta jest bardzo realna. Dla nich walka, do której tu weszli, jest zarówno wyprawą krzyżową jak i krwawą robotą. Nic też dziwnego, że ci co nas otaczali we wsi, mieli twarze skupione lecz szczęśliwe. Jak wszyscy dobrzy żołnierze, Polacy wierzą w zasadę opanowania przedpola, więc też patrolowali energicznie. Rozmawialiśmy z dowódcą plutonu, który niedawno powrócił z udanego patrolu; patrol ten był nieobecny 34 godziny, przebywszy 50 km w głębokim śniegu i przekroczywszy rzeki Sangro i Gorgo ażeby przedostać się wprost na przeciwległą krawędź.

Dowódca patrolu dowiedział się, że niemiecki oddział prowiantowy spodziewany był w pewnej grupie domów, wobec czego odpowiednio zastawił zasadzkę. Istotnie oddział niemiecki ukazał się. Dowódca patrolu zaczekał, aż Niemcy podeszli na najbliższą odległość, po czym wezwał ich do poddania się. Niemcy odpowiedzieli ogniem. W wyniku starcia padło 4 Niemców zabitych i 3 ciężko rannych, podczas gdy po polskiej stronie był 1 lekko ranny. Była to pierwsza polska krew tam przelana.

Tak nadszedł dla nas czas, aby pożegnać Polaków w ich górach. Nieprędko zapomnimy ich uprzejmość i gościnność, ani wiele rzeczy o których nam opowiadali«.

*) 1 stopa (foot) = 30,5 cm.

Transport morski zatopiony

Z Algeru donoszą, że na skutek działań wojennych zatonął w pobliżu wybrzeża północnej Afryki statek wiozący 1000 Polaków i Francuzów.

Rozkaz generala brytyjskiego

Po przybyciu polskiego II korpusu w skład brytyjskiej 8 armii, nowy dowódca tej armii gen. Sir Oliver Leese (czyt.: Liiz) wydał następujący rozkaz powitalny:

»Wartość bojowa Polaków znana jest każdemu żołnierzowi brytyjskiemu. Podczas mojej niedawnej bytności w polskim korpusie uderzyła mnie sprawność i bystrość oficerów i szeregowych. Jak mogłem zobaczyć, te doskonałe oddziały już zaczęły uczyć się techniki walki w tym górzystym kraju. Korpus polski ma w swym składzie żołnierzy, którzy swe zdolności bojowe wykazali jeszcze w okresie 1940-42 pod Tobrukiem i Gazalą. Należy ich postawić pośród najstarszych członków 8 armii«.

Uznanie dla naszej floty wojennej

W Londynie otwarto polską wystawę morską. Przemawiając w czasie tej uroczystości, brytyjski pierwszy lord admiralicji (czyli minister marynarki), Alexander, podniósł zasługi polskiej marynarki wojennej w czasie tej wojny. Ilość działań morskich, w których flota polska wzięła udział, jest niewiarogodnie wielka. W czasie ostatnich operacji na morzu Śródziemnym polscy marynarze zasłużyli na szczególne wyróżnienie.

Powyższe przemówienie brytyjskiego ministra zostało uwydatnione w prasie angielskiej.

Wystawa lotnicza w Londynie

W Londynie otwarto wystawę polskiego lotnictwa. W uroczystości otwarcia wziął udział brytyjski minister lotnictwa, Sinclair, który podkreślił, że w porównaniu z okresem, kiedy myśliwcy polscy brali udział w bitwie o Anglię w 1940 r., położenie zmieniło się gruntownie: samoloty ocechowane biało-czerwonymi szachownicami (polski znak lotniczy) wraz z innymi samolotami sprzymierzonymi, zapanowały w powietrzu i coraz skuteczniej wypierają z niego lotnictwo nieprzyjacielskie.

»Lotnicy polscy przyłączyli się do nas w najcięższej chwili« — mówił minister Sinclair.— »Zawierzyli nam tak jak my im zawierzyliśmy. Nie mogliśmy znaleźć lepszych towarzyszy broni. Dla zwykłych śmiertelników, którzy niewiele wiedzieli o Polakach, tak jak i ja na początku, momentem zwrotnym był udział polskich pilotów w bitwie o Wielką Brytanię«.

ANDRZEJ CZYZOWSKI (Fryburg)

SLOWA ZZA MGLY

Ostatnie Twoje listy już były bez zapachu
już nie liliowy papier,— ale zwykły, biały
na czerwone pieczęcie nie dałaś już laku
że nam coś z listu zginie już się bać przestałaś...

W nagłówku — jak szyderstwo — piszesz: „przyjacielu“ —
to słowo — kiedyś srebrne — teraz brzęczy cyną
i mówi: „koniec“ latom, i tamtym niedzielom —
księżycowym wieczorom po parkach — dziewczyno...

Nie chcesz, i nie wiesz, i na mnie nie czekasz
w moje istnienie już przestałaś wierzyć
i czas niezwyciężony — i przestrzeń daleka
i góry obcych przeżyć między nami leżą.

Gwiezdnym nocom nad rzeką, spacerom po lesie
pocałunkom, kochaniu, radościom i smutkom
na zawsze się odmawiasz i w tę zimną jesień
ja zostaję na wyspie. Ty — odpływasz łódką —
słońce opar przecieka, kładzie się na wodzie
czas wszystko nam zabierze, czas wszystko łagodzi
i w tym liście mi nikniesz, z mgły Cię ledwo słyszę...

Mgła, woda, mgła. — Ciebie nie ma. — Cisza.

Nie mogłem dłużej walczyć ze sobą. Sięgam do żelaznego zapasu, zjadam dwie pomarańcze. Trzeźwieję. Patrzę na mapę. Źle poszedłem!... Muszę wracać własnymi śladami.

Teraz słyszę dobre głosy — kolegów. Idą przede mną. Wołają: »chodź«! Idę za nimi ścieżką wydeptaną przez zwierzęta w zaroślach przypominających koński ząb.

Kto wydaje takie głosy? Nie znam się na tym wszystkim. Ale wówczas skapiałbym już na tym miejscu, gdyby nie te głosy kolegów, za którymi biegłem, które naprowadziły na ścieżkę idącą w dobrym kierunku.

Bo kiedy zrobił się ranek szóstego dnia, a po piątej nieprzespanej nocy — zobaczyłem na wzgórku dużą wieś.

Wieś roi się od Murzynów. Pokazuję im gestami w niebo, że stamtąd zleciałem. Sześć palców wznoszę i zataczam sześć łuków obrazujących wschody i zachody — sześć dni jestem w drodze. Pokazuję — jeść!... Pokazuję osła i że gramolę się na niego i krzyczę: »Lotnisko X«. Pantomina trwała dwie godziny nim przynieśli miskę gorącego mleka koziego i nim poczęli maścić moje pokaleczone nogi oliwą.

I znów błagania:

— Nie idź... *Babu*!... — I pokazują przebijanie dzidami.

Czekam do wieczora. Zebrała się cała wieś. Zachwyt budzi zatrzask błyskawiczny. Każdy po kolei próbuje i za każdym razem wybucha śmiech. Jakiś Murzyn pełni funkcję szambelana. Przyniósł kij z nasadzonymi piórami i ogania mnie od much. On dyryguje moim wyżywieniem. Dają mi herbaty — ulepu, pół na pół z cukrem i z domieszką jakiś ziół. Mój »szambelan« przyprowadza trzy młode dziewczyny, ale ja chcę spać.

SUŁTAN — ZBAWCA

»Szambelan« przyniósł cztery drągi, zatknął w ziemię, owinął matą z przewiewnego włókna. Zwaliłem się i spałem. Gdzieś w środku nocy jakaś ręka wsunęła mi skopek z mlekiem i rozbudziła szturchańcami. Wypiłem i spałem. Spałem!...

Przebudziwszy się siódmego dnia, zaczynam swoje: »Lotnisko X, d o n k e y«. Ale mój szambelan kręci głową. Przyniósł mi natomiast trzy żywe ptaki z dziobami długimi jak czaple. Zarżnął je i piecze. Nim upiekł, połknąłem na surowo cztery przyniesione jaja — dałem za nie podkoszulek. Szambelan, to co innego — szambelanowi nie płacę tu, tylko pokazałem mu funta z okrzykami, że otrzyma go na lotnisku X i to wszystko co mi dostarcza, wszystkie świadczenia, z dziewczynkami łącznie, idą na rachunek tego funta. Na rachunek też tego funta zrobił mi sandałki z palmowego włókna.

Siedzę w nich i udzielam audiencyj. M. in. przychodzi czarna piękność i ofiarowuje mi cud swego ciała, ubranego w przepaskę na biodrach i guzik w nosie. Ofiarowuję jej drugi guzik od mego ubrania, aby miała dla kompletu do drugiej dziurki i mogła wiecznie wciągać mój zapach w nozdrza i odprawiam łaskawie.

Audiencje przerwało dwu Murzynów w mundurach i konno. Patrole są rozesłane po całej okolicy. Sam sułtan Mohammed Abba już kilka dni mnie szuka. Jest już powiadomiony, że jestem w tej wsi i śpiesznie ciągnie.

Znowu więc śpię dzień i noc, a ósmego dnia koło pół do dziesiątej zrywa się w całej wsi nieopisana wrzawa głosów kobiecych. Kobiety wydają jakieś nosowo-gardłowe, turlikające dźwięki. Mężczyźni klaszczą. Wszystko to na cześć sułtana Mohammeda Abby, który wjeżdża do wsi w orszaku kilkunastu jezdnych.

Sułtan jest czarny jak heban, waży ze sto sześćdziesiąt kilo, wąs ma siwy. Ubrany biało, biały turban, czerwone buty z miękkiej skóry i ogromny, ciężki miecz. Złazi z konia, wita mnie kordialnie i idziemy do komnat recepcyjnych. Okazuje się, że w każdej wsi sułtan ma chatę do swego rozporządzenia i że ten budynek administracyjny można poznać po strusim jaju, które zdobi jego szczyt.

Wewnątrz chałupy czy tam szałasu leżą czyste maty, stoją duże gary i palenisko. Za sułtanem wnoszą wielką skórę, jeden i pół na dwa metry szerokości. Zzuwamy buty, siadamy, poczynamy gwarzyć. Ofiarowuję mu okulary przeciwsłoneczne i automatyczny ołówek i częstuję ostatnimi dwiema pomarańczami. Ołówek wywołuje zdumienie — już się złamał i już znowu może pisać! Na pestki pomarańcz wskazuje sułtan, pytając, czy wyrosną. Potwierdzam. Wobec tego każe je starannie zebrać.

Na srebrnym półmisku wjeżdża kilka kur pieczonych. Jego sułtańska mość lekko wcina dwie kury i idzie przed namiot na odprawę. Petenci padają na czworaki i klaszczą na znak, że proszą o pozwolenie przemówienia.

Poczem ruszamy, odprowadzani turlikaniem kobiet i klaskaniem mężczyzn. Ścieżka jest wąska i jedziemy w takim porządku: czarny dryblas pełniący obowiązki czegoś w rodzaju marszałka dworu, ja, potem sułtan i dalej cała świta. Gdzie można jechać szerzej, ubezpieczają boki jeźdźcy z włóczniami o ostrzach wygiętych, jak płomień (jak na kryszach* malajskich). Za sułtanem jedzie grajek z prymitywną drumlą i cały czas coś rzępoli i śpiewa.

Po wsiach nas witają turlikaniem i pieczonymi kurami. Jedziemy do późna, słońce już zaszło, a my ciągle jedziemy. Sułtan wciąż jednak jeszcze trzyma moje czarne amerykańskie okulary na nosie. Są one w szerokiej, białej, celuloidowej ramce, która bardzo zabawnie wygląda na czarnej gębie.

Na wieczór — Sułtańska Mość znów raczył wtroić dwie kury i spoczęliśmy pod mustikierami (namiot siatkowy przeciw komarom).

Jechaliśmy cały dzień następny, aż wieczorem dojechaliśmy do osady, gdzie miało mnie czekać auto.

Kiedy mi pokazano lusterko — zobaczyłem w nim kogoś brodatego i nieznajomego. Jestem, jak pan widzi, szczupły i niedużego wzrostu, ale straciłem w ciągu tych siedmiu dni siedem kilo.

Na trzeci dzień przyleciał po mnie »Blenheim«, no i teraz mam urlop na odpasienie.

— A piwa nareszcie się pan napił?

Śmiejemy się.**)

JAN ŁUŻYC

*) Krysz — długi nóż malajski

**) „Polska Walcząca“ nr 16—17, 1943 r.

Sprawa robotnicza

jej powstanie i rozwój

Powstanie i szybki rozwój przemysłu w XVIII i XIX wieku spowodowały wytworzenie się klasy robotniczej jako wyraźnej i odrębnej warstwy społecznej. Do ośrodków przemysłowych wędrowały rzesze zubożałych rzemieślników oraz tych wszystkich, których wieś nie mogła wyżywić. Szukali oni lepszych warunków życia. Byli to przeważnie ludzie niewykwalifikowani, a pozbawieni wszelkiej własności; jedyną wartością, jaką wnosili do przemysłu, była ich zdolność do pracy fizycznej.

Prowadzenie przedsiębiorstwa przemysłowego, sprzedającego swe wytwory na cały świat, wymagało od przedsiębiorcy znacznie więcej wiedzy handlowej i ogólnej, niż prowadzenie warsztatu rzemieślniczego. Dlatego rzadko mógł robotnik fabryczny stać się samodzielnym przedsiębiorcą, inaczej niż czeladnik, który często zakładał własny warsztat. Właściciel fabryki musiał mieć ponadto duży kapitał dla jej założenia, tym większy, im bardziej maszyna zastępowała pracę rąk ludzkich.

Robotnik, który nie miał możliwości założenia własnego warsztatu pracy,

popadal w zaleznosc od przedsiębiorstwa.

Stały nadmiar rąk powodował, że przedsiębiorcy nie zwracali uwagi na to, czy robotnik jest zadowolony z pracy czy nie, czy praca wpływa źle lub dobrze na jego zdrowie i czy posiada on znośne warunki bytu, gdyż na jego miejsce czekał nie jeden lecz kilku innych.

Przedsiębiorcy dążyli do jak największych zysków. Starali się obniżać koszty produkcji wszelkimi sposobami, a więc także przez utrzymywanie niskich płac pracowników oraz uzyskanie jak największej wydajności pracy, nie oglądając się na potrzeby i zdrowie robotników. Z drugiej strony starali się uzyskać jak najwyższe ceny za swe wyroby, co powodowało drożyznę, odbijając się znowu na warunkach życia robotników.

W pierwszym okresie gospodarki kapitalistycznej

robotnik pozbawiony byl wszelkiej opieki.

Nieletnie dzieci i kobiety pracowały po kilkanaście godzin na dobę, mieszkania były niehigieniczne, zarobki niskie, nikt się nie troszczył o zdrowie robotników. Wywołało to groźbę zupełnego wyniszczenia duchowego i fizycznego warstwy robotniczej. Wielka śmiertelność i zmniejszanie się urodzin zaczęły być niebezpieczne dla przyszłości każdego narodu, w którym stan robotniczy, w miarę rozwoju przemysłu, stawał się coraz liczniejszy. W zmianie tych niezdrowych stosunków byli więc zainteresowani nie tylko sami robotnicy; stan ten budził niepokój wszystkich ludzi myślących poważnie o przyszłości państwa.

Wobec przewagi pracodawców, rozporządzających wielkimi wpływami i różnymi środkami nacisku,

robotnicy zaczeli sie organizowac

i zasadę solidarności robotniczej przeciwstawili potędze środków i wpływów przedsiębiorców. Rozpoczęła się walka klas: pracodawcy chcieli mieć jak największe zyski z przedsiębiorstw, robotnicy zaś dążyli do poprawy istniejących stosunków. Wcześnie już zaczęła się akcja robotnicza, idąca w dwu kierunkach: politycznym i zawodowym. Robotnicy organizują się w związki zawodowe i w robotnicze partie polityczne.

Różnymi sposobami starano się rozwiązać sprawę robotniczą w różnych krajach, zależnie od położenia gospodarczego, siły organizacji robotniczych, wreszcie od zrozumienia przez społeczeństwo

żądań robotniczych, zwiazanych zreszta z interesem calego narodu.

Poprawa warunków pracy, skrócenie czasu pracy, wprowadzenie ubezpieczeń społecznych, zakaz pracy małoletnich, prawo zrzeszania się robotników dla obrony swych interesów zawodowych, wreszcie podwyższenie udziału pracowników w zyskach przedsiębiorstw przez podniesienie zarobków — oto żądania, które stawiali robotnicy. Partie polityczne walczyły o równe stanowisko politycznie robotników w państwie. Zdobycze robotników zarówno w kierunku politycznym jak zawodowym są olbrzymie. Zdobycze te powodowały często przeciwdziałanie ze strony przedsiębiorców: utrudnianie swobodnego zrzeszania się robotników lub nawet wprost niszczenie organizacji robotniczych i ich dorobku w dziedzinie opieki społecznej. Ruch robotniczy natomiast rozszerzał swoje wpływy zyskując sprzymierzeńców w ubożejącym mieszczaństwie, zaczął też szukać porozumienia ze wsią.

Samorzutnym ruchem proletariatu miejskiego zainteresowali się już wcześnie ludzie uczeni, którzy zaczęli w swych teoriach społecznych szukać rozwiązania sprawy robotniczej. Moralność społeczna wymaga według nich nowego ładu, w którym

praca, a nie majatek czy urodzenie, bylaby najwazniejsza rzecza w gospodarstwie narodowym.

W ruchu robotniczym wykształca się przekonanie, że sasada sprawiedliwości społecznej da się w pełni urzeczywistnić tylko w takim systemie gospodarczym, w którym kapitał nie byłby czynnikiem panującym. Stawia się więc żądanie uwłaszczenia pracowników przez dopuszczenie ich do udziału w zyskach i w zarządzie przedsiębiorstw, lub też żądanie upaństwowienia albo uspołecznienia przedsiębiorstw.

Coraz wyraźniej utrwala się w społeczeństwie przekonanie, że takie czy inne korzystanie z własności zasadniczych środków produkcji, a więc przede wszystkim fabryk, i kierowanie nimi nie może zależeć od widzimisię jednostek, gdyż ma znaczenie ogólne, społeczne. Jest to więc funkcja nie prywatna lecz społeczna, a wykonywanie tej funkcji jest rzeczą, która obchodzi cały naród. Społeczeństwo nie ma wcale interesu w rozbudowie życia gospodarczego poto tylko, aby niektórym jednostkom umożliwić bogacenie się bez granic. W interesie społeczeństwa leży, ażeby wszyscy obywatele mieli możność zaspokojenia swoich potrzeb materialnych i duchowych.

W spory między pracodawcami i robotnikami

wkracza coraz silniej panstwo jako rozjemca

między »pracą« a »kapitałem«. W wieku XX to mieszanie się (interwencja) państwa zaczyna już odgrywać rozstrzygającą rolę. Powstają sądy pracy, rozwija się system ubezpieczeń, pracownik uzyskuje wszechstronną opiekę prawa.

Polska odbudowana na terenach należących przed tym do trzech różnych zaborców, musiała od nowa uregulować u siebie sprawę robotniczą. Polskie ustawodawstwo w tej dziedzinie poszło w bardzo dużej mierze drogą postępu, urzeczywistniając szereg żądań robotniczych. Toteż w Polsce interwencja państwa na rzecz robotników szła dalej niż w państwach zachodniej Europy, niż na przykład w Anglii lub we Francji. Z natury rzeczy jednak w naszej dopiero krzepnącej państwowości nie wszystkie przepisy ustawowe mogły być całkowicie wykonywane i na tle stosowania tych przepisów dochodziło często do sporów między robotnikami a pracodawcami.

W bliskiej już przyszłości staniemy wobec konieczności odbudowy przemysłu w Polsce i potrzeby rozbudowania go szeroko poza przedwojenne ramy celem wchłonienia ludzi z przeludnionej wsi. Liczba robotników powiększy się i

sprawa robotnicza nabierze jeszcze wiekszej wagi

niż miała dotąd.

Sprawy społeczne zajmują już teraz opinię wszystkich krajów, niezależnie od toczącej się wojny. W państwach alianckich mówi się o różnych reformach społecznych. Być może, że nie we wszystkich tych reformach będziemy mogli dorównać bogatym krajom zachodniej Europy i Ameryki, gdyż zamożność państwa ma w tym zasadnicze znaczenie. Polska jest krajem biednym, a przy tym zniszczonym przez wojnę. Nie można więc będzie nie tylko robotnikom lecz i innym warstwom społecznym stworzyć takich samych warunków dobrobytu, jakie te same warstwy mają w Anglii czy w Ameryce. Muszą być jednak wytworzone takie warunki, które by nie dopuściły do powstawania zbyt dużych różnic między bogatym a biednym, do powstawania rzesz wydziedziczonego proletariatu. Rozwój myśli społecznej przy równoczesnym postępie gospodarczym, wzbogacaniu się całego narodu, umożliwi stworzenie należytych warunków bytu dla wszystkich.

erceha (Winterthur)

Naszemu Przyjacielowi

W związku z przejściem w stan spoczynku naszego zasłużonego rodaka i oddanego przyjaciela, dr. Jana Lagutta, miło nam jest zamieścić nadesłany nam adres pożegnalny, napisany przez jednego z jego szwajcarskich współpracowników. Że swej strony jak najserdeczniej przyłączamy się do wyrażonych w tym adresie życzeń.

Redakcja

31 marca dr Jan Lagutt opuścił w wieku lat 71 firmę Sandoz A. G., w której pracował dokładnie lat 46. Już osiągnąwszy prawo do emerytury dr Lagutt mimo to oddał się firmie do dyspozycji, jako że wielu współpracowników znajdowało się stale w służbie wojskowej. Wreszcie obecnie mógł on przejść w zasłużony stan spoczynku, kto zaś wie jak wielkim szacunkiem darzył go każdy w firmie Sandoz, ten rozumie że firma traci w nim jednego ze swych najbardziej wartościowych współpracowników. Jako chemik i jako człowiek oddał firmie wielkie usługi. Zarówno w interesach, jak i w życiu prywatnym występował zawsze jego wybitny zmysł społeczny i stale z powodzeniem zabiegał on o usunięcie tarć i braków. Ten sam duch ożywiał go, gdy się zajął swymi internowanymi w Szwajcarii rodakami. Oby mu wraz z jego wierną towarzyszką życia sądzone były jeszcze liczne w dobrym zdrowiu lata. Że i nadal nigdy się do jego drzwi daremnie nie będzie kołatać, wie każdy, kto go ma przywilej znać.

Dr W. B.

Lotnik w puszczy afrykanskiej

(DOKOŃCZENIE)

Plączę się po obejściu bezradnie. Wreszcie wypełzają jakieś dwie staruchy i nie uciekają.

— *Moja* — mówię — *moja* (na naszym wybrzeżu tak Murzyni nazywają wodę). Pokazuję na żołądek, pokazuję pieniądze, daję jednej staruszce zegarek.

Zbliżają się inne, oglądają, dotykają mnie, ale pokazywanie na brzuch nic nie pomaga — jeść nie dają. Natomiast poklepują mnie z wielkim upodobaniem. Jedna starucha sięgnęła za moją koszulkę i fachowo pomacała, tak jak nasze gospodynie macają kury na targu.

Na palach przed szałasami zobaczyłem jakieś suszące się mięso. Jak urzeczony patrzyłem w to mięso. Pan się śmieje, ale przecie nim aeroplany poczęły przecinać ten kraj w czasie wojny, pies kulawy tu nie zaglądał, licho ich wie.

Ale że nogi mi potwornie rozpuchły, siadłem w cieniu i czekam. Dzieci biegają, to zapewne są i mężczyźni. Obiecam im nagrodę większą, niż ilość mięsa, którą mogą mieć ze mnie.

Wreszcie zjawił się Murzyn. Daruwuję mu z ukłonem menażkę, znowu pokazuję, że chcę jeść. Coś zarządził, przynieśli w wydrążonej dyni zupę jakby z nasiennego ogórka, potem jakąś pieprzoną wodę, potem papkę z kukurydzy, zmieszanej z jakimiś nasionami i zalanej kozim mlekiem.

Obdarowany Murzyn pokazuje migami: tu (znak rękami umiejscawiający) trzech (trzy palce) bardzo złych (grymasy, warczenie, potrząsanie ręką jakby dzierżył dzidę) zjedli (gest szarpania zębami) dwu (palce) białych ludzi (gładzi mój owal twarzy).

Dwie kobiety przynoszą matę, zapraszają do spania.

— *Babu* — woła ze zgrozą Murzyn — *babu*!...

Nie rozumiem, ale tyle jest grozy w jego głosie, że zrywam się na równe nogi. Murzyn chwyta mnie za rękę i ciągnie za wieś. Jest już ciemno, kobiety groźnie wyją. Wyprowadziwszy mnie z kilometr Murzyn wskazał mi kierunek osady N. i wrócił do wsi.

WIDZIADŁA

Idę z półtorej godziny. Błoto zastępuje mi drogę. Komary... Myślę, że nie byłem już całkiem przytomny. Oszalały z powodu komarów, zrzucam ubranie, właźę w wodę, mokrą chustką otaczam głowę — przesiedzę noc w wodzie. Ale noce chłodne, woda mroźna. Kostnieję. Wyłażę z wody. Zanim się ubrałem, komary pocięły mnie jeszcze straszliwiej.

Całą noc biegam, właźę na drzewo, złażę z drzewa, szaleję. To jest czwarta noc bez snu. Zaczynam mieć halucynacje. Wydaje mi się, że łódź podjeżdża. To znowuż, że jacyś ludzie siedzą na gałęziach.

Ze świtem ruszam. Idę błotem — od drzewa do drzewa. Posuwam się najwyżej kilometr na godzinę. Nie mogę iść lądem, bo grudy suchego błota rżną bose, krwawiące nogi. Nie mogę iść wodą bo parzy jak ukrop, bo raz po raz na dnie następuję na kolce. Idę brzeżkiem wody i lądu.

Teraz w kierunku N. odgałęzia się suche łożysko. Rzucam wodę, idę nim. Zjadam puszkę sardynek. Spostrzegam



...ofiarowuje mi cud swego ciała...

rośliny, które widziałem suszące się we wsi, więc pewno jadalne. Są to wielkie czterograniaste strąki, stojące pojedynczo i pionowo na wysokich łodygach. Wyglądają jak włócznie. Smakują nieźle, jak groch.

Łożysko mnie dobija. Próbuję iść kolanami, ale jestem na tyle przytomny, by ocenić, że to jest nonsens, że w ten sposób nie dojdę. Wysiłkiem woli staję na nogi i idę, czując za każdym krokiem noże w podeszwach. Język mi się zwinął w trąbkę, usta suche jak wypalona skóra.

Wtem... słyszę za sobą głos, mówiący po angielsku:

— Ty idziesz do N.?

I zaraz po tym drugi głos:

— Chcesz wody?

I jeszcze jakiś trzeci głos coś mówi, czego nie zrozumiałem: Jest ich trzech, Europejczycy!

— Chodźcie ze mną! — wołam.

— Dobrze, idziemy...

Biegnę za krzak, zza którego mówią do mnie. Nie ma nikogo...

Idę dalej. Ci trzej wciąż za mną:

— Już zginąłeś...

— Już jesteś w naszych rękach...

Gdzieś w nocy dobijam do czarnego kłębu drzew. W kotlince stoi płytka na pięć centymetrów woda. Padam, piję, przykładam twarz do wody.

— Teraz już jesteś nasz! — wołają moi prześladowcy.

Wyciągam rewolwer.

— Wyłaźcie!...

Ale oni zmieniają taktykę:

— Dostaniesz piwa zimnego, ale to kosztuje funta.

— Dam, dam funta — bełkocę.

Wszyst-ko niknie.

Teatr Zolnierski 2. DSP

Wystep w Wettingen

Zorganizowanie porządnej rewii żołnierskiej nie jest rzeczą łatwą, szczególnie wtedy, gdy nie ma się ani zawodowych aktorów, ani też... aktorek. Że jednak niemożliwość może stać się rzeczywistością, łatwo było przekonać się na przedstawieniu Teatru Żołnierskiego 2. D. S. P. w Wettingen. Jedenastu młodych żołnierzy dwoi się i troi na scenie w coraz to innych obrazach — to wesołych, to mocnych i tragicznych, malując doskonale myśli przewijające się w głowie internowanego. Wszystkie nastroje: smutku, tęsknoty za krajem, wesołości właściwej młodym usposobieniom, i lekkiej satyry na pewne drobne dolegliwości życia obozowego — wszystko to przewija się przed oczyma widza. Brak elementu kobiecego nie daje się odczuwać. Wzrostem i poniekąd kształtem dobrze dobrani młodzi chłopcy grają z powodzeniem rolę Maryjek śląskich, hożych Krakowianek i wytwornych dam tańczących poloneza i mazura.

Układ treści bardzo dobry. 10 obrazów tanecznych, skeczów i scen dramatycznych, przeplatanych tu i ówdzie recytacjami, dają przyjemną i raźno toczącą się całość, świadczącą dobrze o guście autorów i reżyserii. Szczególnie dobre są numery taneczne, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę trudności, jakie zespół musiał pokonać by dojść do wyników, które osiąga. Niewątpliwie duża w tym zasługa poprzedniego kierownika artystycznego p. Libovicky'ego, chociaż obecnie teatr nasz stoi (dosłownie i w przenośni) na własnych nogach, co należy z uznaniem podkreślić. Zestawienie dobrze wykonanych polskich tańców — trojaka, mazura, krakowiaka i zbójnickiego — jest dla widza szwajcarskiego wielce ciekawe i pouczające, w Polakach zaś budzi wiele wspomnień i wprowadza swojski nastrój. Piosenki na ogół przyjemne, choć czasami ujęte zbyt swobodnie z punktu widzenia zharmonizowania muzycznego.

Zapowiadacze (konferansjerzy) dobrze zgrani z całością, za to deklamacje trochę słabe. Widać trudności dykcji (wyraźnego mówienia), zapał aktorski niekorzystnie wpływa na sceny dramatyczne, powodując grę patetyczną (sztuczną) — co wyraźnie uderza w obrazie »Pobudka«, który mógłby być lepszy pod względem gry i pomysłowszy w inscenizacji. Zakończenie »KARPACCY GÓRALE« — pierwszorzędne. Taniec, dekoracje, reżyseria tej sceny robią z niej numer godny dobrego teatru.

Publiczność złożona z polskich internowanych z różnych obozów otaczających Baden i licznych gości szwajcarskich oklaskiwała z widocznym zadowoleniem wykonawców. Trochę nużył miły skądinąd zapowiadacz szwajcarski, któremu podsunięto za dużo nie bardzo naturalnych i zbyt szumnych zdań.

Niemało kłopotów przysparza artystom zachowanie się naszej, polskiej publiczności. Rozmowy i wchodzenie nie w porę utrudniają słuchanie, a chmury dymu ciągle palonych papierosów nie ułatwiają śpiewu. Warto o tym pamiętać i na wstępie zwrócić się do widzów z wezwaniem, do którego nasi koledzy niechybnie zechcą się zastosować, choćby tylko ze względu na zaproszonych gości.

NO

Uczciwy znalazca

»Die Tat« z dnia 18.4 br. zamieściła wzmiankę, że pewien internowany żołnierz polski w jednej z miejscowości kantonu tessyńskiego znalazł na ulicy woreczek z 800 frs. Postarawszy się ustalić, kto jest właścicielem zguby, Polak ów odniósł ją właścicielce.

Pismo kończy tak: »Nie zamieścilibyśmy tej krótkiej notatki gdybyśmy nie wiedzieli, że postępek tego Polaka wzbudzi zdumienie niektórych ludzi«.

Czytelnicy pisza

SŁÓW KILKA O »GOŃCU«

Prosiliśmy o głosy krytyczne na temat naszego pisma. Mamy więc krytykę. Dotyczy ona jeszcze poprzedniej formy „Gońca". Oto nasz czytelnik **T. G. z Wetzikonu** pisze:

„... Zdaje się, że „Goniec" nie obejmuje całokształtu naszego życia na internowaniu. Świadczy o tym choćby artykuł Advet'a poświęcony różnym naszym wydawnictwom w Szwajcarii, o których b. mało lub zupełnie nic nie wiemy. A jest to sprawa bardzo ważna. Każde n a s z e wydawnictwo powinno być omówione na łamach n a s z e g o pisma. O wszystkich książkach, skryptach, czasopismach, jednodniówkach powinniśmy się z „Gońca" dowiadywać.

Zdaje mi się, że „Goniec" — aczkolwiek jest „pismem żołnierzy internowanych" — mógłby również podawać wiadomości o życiu i pracach naszych cywilnych uchodźców, których w Szwajcarii jest już spora liczba. Obowiązek ten spada siłą rzeczy na „Gońca", jako jedyne drukowane w Szwajcarii pismo polskie."

POTKNIĘCIE SIĘ NA... ELEMENTARZU

W dalszym ciągu swego listu T. G. pisze:

„... Advet nie ogranicza się do podkreślenia tylko potrzeby informowania o ruchu wydawniczym internowanych w Szwajcarii, lecz w tym samym numerze omawia świeżo wydany elementarz, rozpoczynając tym samym niejako dział recenzji w „Gońcu". Nie chciałbym polemizować z autorem tej recenzji, muszę jednak sprostować oczywisty błąd jej autora, który powiada, że nauczyciele w obozach „będą musieli... do alfabetu, wydrukowanego na str. 6 - 7, polecić wpisanie litery q i Q oraz v i V, jak również pouczyć o dźwięku tych liter". Czyżby autor recenzji nie wiedział o tym, że w języku polskim n i e m a dźwięków q i v? Skoro zatem nie ma takich dźwięków, więc nie może być i ich odpowiedników literowych. Okazuje się, że nawet przy ocenie takiej książeczki jak elementarz można się potknąć.

Skoro już o literach mowa, to wspomnijmy nawiasem, że w 1942 wyszła w Paryżu (w „Librairie Droz") „Grammaire de la langue polonaise", opracowana przez H. Grappin. Jest to gramatyka opisowa współczesnej polszczyzny, napisana przez znawcę języka polskiego. Dzieło to można polecić wszystkim, co znają język francuski. Jest to najlepszy podręcznik języka polskiego napisany w języku obcym, gramatyka ta obejmuje 324 str., cena — około 14 fr.)".

ZA LEKKIE SŁOWA... ZA CZUŁE...

R. K. z Giswil pisze na temat naszego pisma co następuje:

„... O jakże rzadko słyszę słowa uznania skierowane pod adresem „Gońca"! Natomiast krytykę spotykam na każdym kroku. Życie zmusza do tego, że — czy się chce czy nie chce — trzeba słuchać tej krytyki „barakowych mówców".

Czytam stale „Gońca", a chociaż miałbym mu wiele do zarzucenia, to jednak chowam to dla siebie, bo zdaję sobie sprawę z trudności, jakie trzeba pokonać, aby pismo nasze mogło się ukazywać.

Za mało dynamiki myśli posiada „Goniec", aby potrafił porwać, zmienić, wyrwać z korzeniami plugastwo, które się dokoła rozprzestrzenia — za lekkie słowa Starszego Strzelca, za czułe!..."

MY I ONI

Różnie ludzie ustosunkowują się do „Gońca". Oddajemy głos naszemu czytelnikowi **M. Z. L. z „Flüchtlingslager Gütsch" (Lucerna)**. Pisze on:

„... Po raz pierwszy od czasu, jak zdołałem się wydostać z obozu koncentracyjnego... otrzymałem polskie słowo w druku. Zaiste był to dzień, jakich mało w obecnym szarym życiu — polska, swoja gazeta! I tyle ciekawych rzeczy!

... Niech panowie nie zapominają, że w Lucernie żyje Polak i chce po polsku czytać i myśleć — jeśli rozporządzacie jakąś biblioteką, przyszlijcie parę książek polskich... Życie codzienne — smutne i szare. Otoczenie obce... Jestem samotny... Przysyłajcie pismo i książki..."

Tak pisze ten, który wydostał się z nieprzyjacielskiego obozu koncentracyjnego Dla niego „Goniec", to pierwsze polskie słowo drukowane po wielu być może latach. On zna cenę polskiego słowa drukowanego.

Starszy Strzelec

Fryburska „Wieza Babel"

pod znakiem zblizenia i przyjazni

Jeżeli uniwersytet fryburski liczy dziś mniej słuchaczy niż przed wojną, nie stracił jednak przez to swego międzynarodowego charakteru. W spisie studentów w dziale „miejsce zamieszkania" można znaleźć najbardziej dziwne nazwy, których trzeba by szukać w słowniku geograficznym.

Niektóre wykłady dają przedziwny obraz jakby małej Ligi Narodów, albo zapomnianej już po trochu Olimpiady: między studentami szwajcarskimi siedzą Hiszpanie, Anglicy, Holendrzy, Amerykanie, Austriacy, Węgrzy, Francuzi, Turcy, Niemcy, obok drobniutkiego, uśmiechniętego Chińczyka widać mundur lotnika włoskiego, ze studentem teologii — śnieżno-zębym Murzynem rozprawia student w polskim mundurze; łysawy jest, biedak, więc spogląda z zazdrością na jego wspaniałą, jak karakuły, czuprynę...

Polaków jest najwięcej, obok czarnych sutann teologów najbardziej się rzucają w oczy mundury khaki, i poza językiem francuskim najgłośniej rozbrzmiewa na korytarzach mowa znad Wisły, Warty i Niemna. Zresztą równie chętnie i niemal równie wprawnie gadają Polacy po francusku, po niemiecku i po angielsku: dużo spotykamy kolegów, których kraje walczą i cierpią tak samo i o to samo co nasz, oprócz ciekawości zbliża nas wspólność losów.

Tych wszystkich studentów z krajów sojuszniczych zaprosiła polska „Bratnia Pomoc" na skromny wieczór towarzyski. Całe bractwo — 80 osób (w tym połowę stanowili Polacy) zebrało się w jednej z kawiarni. Wychylono kieliszek wina, a kiedy okazało się, że nie jest ono złe, chętnie posłuchano przedstawicieli różnych narodowości. Póki gadał Francuz (Jules Bloch), wszystko było dobrze. Francuzczyzna dr. You (Chińczyk) i Mehmed Dżana (Turek) brzmiała już bardziej dziwnie, Holender (Jan van der Biesen) męczył się trochę z akcentem i oświadczył, że bardzo jest zadowolony z nawiązania kontaktu „avec fous" (miało być vous), co wzbudziło ogólną radość słuchaczy, a Anglik (Henkel), gardząc, jak to Anglik, obcą mową, przemawiał w języku ojczystym; większość siedziała jak na angielskim kazaniu, ale mowa podobała się, bo często słychać w niej było „Poland". Wszyscy mówcy powiedzieli zresztą, i to z przekonaniem, miłe rzeczy o Polsce. Okazało się przy tym, że ci cudzoziemcy wiedzą już o Polakach więcej niż można się było spodziewać. Wojna ma i dobre strony. Z nas też niewielu wiedziało przed paru laty, gdzie leży Tobruk i Cassino, i co to jest Rabaul.

Ze strony Polaków odpowiedział plut. podch. Rawicz, wyrażając radość z powodu zbliżenia z naszymi kolegami z krajów sojuszniczych. To zbliżenie zamieniło się w wesołą, ogólną zabawę, kiedy Francuzi rozruszali salę humorem, piosenkami i kawałami. Pieśni tureckie, polskie i chińskie następowały jedna po drugiej, aż w końcu cała sala zgodnie, choć fałszywie, odśpiewała „Tipperary".

Tak, różnimy się od naszych sojuszników nie w jednym. Ale te różnice, wynikające z temperamentu, rasy i wychowania, nie są zasadnicze. Łączy nas więcej, niż dzieli — i może nie tylko na dziś.

Na tym wieczorku Polacy zdobyli sobie tylu przyjaciół, ilu było na sali cudzoziemców. I kiedy ich spotykamy teraz na uniwersytecie, czy na ulicy, gadamy z nimi swobodnie i rozumiemy się łatwo. A to jest dobre.

I pytają nas za każdym razem, kiedy się znowu zbierzemy.

S.

LEĆ PIEŚNI W DAL...

Objazd polskiego chóru zolnierskiego

Wystarczy, żeby się zebrało 3 Polaków, a już zakładają 2 partie polityczne — kpią sobie z nas. Może tak i jest, ale że oprócz partii politycznych założą oni chór, to pewne.

Obóz fryburski swój chór ma od paru lat, i to nienajgorszy. Mniejsza z tym, dlaczego tak niemrawo się działo, że w ciągu tych lat wystąpił poza obozem zaledwie parę razy. Grunt, że teraz się ruszyło i Zygmunt Estreicher, dyrygent, baryton i żonaty w jednej osobie, prowadzi swój śpiewający pluton na podbój innych słuchaczy, niż zebrani na akademiach koledzy.

Dnia 5 marca chór wystąpił we Fryburgu, w ramach publicznego koncertu organizowanego przez "Pro Polonia" i stowarzyszenie pań fryburskich. Wielka aula uniwersytetu była nabita po brzegi, a damskie kapelusze stanowiły w niej wyraźną większość. Nie wyszło to na złe ani chórowi, ani soliście, Tadziowi Pustelnikowi, którego śpiew pod akompaniament chóru wzbudził na widowni szczery entuzjazm. Śpiewała również p. Lanckorońska, mazurki i preludia Szopena grał Jerzy Witas. Dochód przekroczył 1000 frs., przeznaczonych na dzieci szwajcarskie za granicą.

Kiedy tak dobrze poszło, dn. 29 marca chór ruszył do Neuchâtel, gdzie spotkał się z pianistą Kaganem na scenie, a z liczną i zachwyconą publicznością na widowni. Występ polskich artystów był niewątpliwie wydarzeniem dnia w tym miłym mieście i szereg pism zamieściło obszerne sprawozdanie z koncertu.

Powodzenie w Neuchâtel skłoniło kierownictwo chóru do zorganizowania całej serii koncertów w większych miastach Szwajcarii francuskiej. Wyprawa rozpoczęła się 12 kwietnia występem w małym i bardzo miłym miasteczku kantonu fryburskiego Bulle, by dalej przez Montreux (14 kwietnia), Genewę (16) i Lozannę (19) zakończyć się znowu we Fryburgu. Już pierwsze głosy prasy wykazują, iż koncerty chóru żołnierskiego spotkały się z bardzo przychylnym stanowiskiem publiczności i krytyki.

Jednocześnie zwrócono uwagę na zasadniczą odrębność muzyki polskiej od rosyjskiej, co jest dla nas tym przyjemniejsze, iż przez długi okres czasu spotykaliśmy się z częstymi nieporozumieniami. Teraz jedno z pism z Neuchâtel (Feuille d'Avis) podkreśla „męską energię" a nawet pewną szorstkość polskich pieśni, w odróżnieniu od „tęsknych, pełnych melancholii" melodii rosyjskich.

S.

Wystawa w Winterthurze

W początkach kwietnia obóz uniwersytecki Winterthur urządził wystawę, która zgromadziła 138 prac z zakresu grafiki, malarstwa, rzeźby i fotografii. Każdy z biorących udział w wystawie twórców przynosi w pracach swych zupełnie wyraźnie zarysowane oblicze, wszystkim zaś jest właściwa owa żywa bezpośredniość, duchowa świeżość i śmiałość w wypowiadaniu się. Z wystawy tej pismo winterturskie »Der Landbote« (6. IV) daje następującą ocenę uczestników: Z. Bem (wyborne akty, wykonane węglem), J. Fortuna (pełne fantazji linoryty), T. Fuss (jako grafik i malarz nader obiecujący talent), Głowacki (pełne poezji rysunki kredką), J. Goldberg (efektowne krajobrazy w węglu i akwareli), J. Gundlach i R. Hunka (nastrojowe rysunki ołówkiem), Z. Opaliński (doskonała Madonna w linorycie), M. Piotrowski (ciekawe rysunki aktów i rzeźby), G. de Reck (godne uwagi rysunki aktów i impresjonistycznie potraktowany obraz olejny), J. Sawka (wyborne karykatury), Z. Stankiewicz (delikatne rysunki aktów kredą), J. Stryjeński (rysownik i rzeźbiarz o dużych możliwościach i silnej ekspresji) oraz fotografie L. Białego, R. Golcewskiego i J. Hajdukiewicza, którzy przez ujęcie tematów dowodzą, iż są również artystami.

Paczki dla Polaków w Rosji

W celu przyjścia z pomocą Polakom, którzy nadal przebywają w ZSRR, rząd nasz zorganizował wysyłkę paczek z żywnością i odzieżą. Paczki te są wysyłane z Iranu i Palestyny za pośrednictwem tamtejszych przedsiębiorstw prywatnych. Przedsiębiorstwa te uzyskały już odpowiednie zezwolenie od **władz sowieckich.**

Wysyłka paczek podjęta została na razie **tytułem** próby. Gdy się okaże, że dla przeprowadzenia jej na szerszą skalę są odpowiednie warunki, odnośne szczegóły będą podane do wiadomości publicznej.

Jeżeli chodzi o przeprowadzone dotychczas składki na cel pomocy Polakom w Rosji, to pieniądze uzyskane z tych składek należy wpłacać do Poselstwa Polskiego (Bern, Elfenstrasse 20) na rachunek „Rezerwy Skarbu".

Wyjaśnienia powyższe zainteresują zapewne wszystkie te instytucje, które w swoim czasie zmieniły cel zbiórki w przekonaniu, że wszelka pomoc dla Polaków w Rosji jest niemożliwa. Należy przypuszczać, że obecnie nie będą one miały zastrzeżeń co do przekazania funduszów zebranych na pierwotny cel.

Z WĘDRÓWEK REDAKCYJNYCH

NA CUDZYM...

Obóz Neuenhof brunatniał swymi barakami na ledwie — ledwie zieleniejącej równinie nad Limmatem. Z prowadzącej od obozu bocznej uliczki wymaszerował oddział w granatowych drelichach. Orzełki połyskiwały na czapkach. Nasi idą do pracy. Zsiadłem z roweru i zameldowałem się prowadzącemu plutonu porucznikowi P., że przyjeżdżam z redakcji »Gońca« celem napisania reportażu z życia obozu.

Był koniec marca i słońce przedwiośnia jaskrawo świeciło w oczy, szeroka, gładka droga wabiła w dal. Kiedyż to »czas nadejdzie rączy«, gdy te nogi czy maszyny poniosą nas w inne strony? To pytanie przewijało się przez wszystkie rozmowy. Kiedy koniec internowania? Koniec wojny? Kiedy nareszcie coś się ruszy? I niewiele brakowało, bym w parę godzin później w obozowej szkole powszechnej założył się 1 : 13 o litr wina, że inwazja nastąpi jeszcze w kwietniu. Uśmiechnęli się nieco pobłażliwie: tyle niezawodnych terminów im obiecywano i każdej wigilii mówiliśmy sobie, że to już napewno — ostatnia na obczyźnie.

Podczas kiedy zwolna podchodziliśmy drogą na górę, gdzie pracują nasi żołnierze, mianowicie ta grupa, dla której schodzenie na obiad do obozu byłoby zbyt uciążliwe ze względu na odległość, por. P. opowiadał mi o stosunkach obozowych, o nastrojach, o pracy... Że obóz jest »dobry«. Ludzie nie piją (za wiele...), nie zgrywają się w karty, HP nie jest częstym gościem w obozie (chyba w poszukiwaniu pary od tej pozostawionej w pośpiechu i przyniesionej przez męża cholewki...), znaczna część żołnierzy była u spowiedzi wielkanocnej — słowem właśnie to życie codzienne obozu, nie obfitujące w żadne wydarzenia sensacyjne i z którego jedynie wytrawny dziennikarz, mieszkający i pracujący razem ze wszystkimi, w polu i barakach, potrafi wydobyć ów koloryt życia i prawdy. To trudne zadanie, nic tedy dziwnego, że niektórzy czytelnicy zarzucają autorowi tych słów, iż jest w nich aż 65% »banałów«. Myśl o tym nie dawała mi spokoju. Jak i co napisać, by to sprawozdanie »miało ręce i nogi«, by nie było nudne? By nie było zbyt — osobiste. A tymczasem tak trudno pisać o widzianym w sposób czysto sprawozdawczy i nieosobisty...

A więc stromy stok góry, porośnięty lasem. Para koni, gromadka żołnierzy. Lina przeciągnięta przez uwiązane u drzewa kółko. Można by powiedzieć: na jednym końcu liny para koni, na drugim — dwukołowy wózek. Wózek na dole ładowany jest ziemią, po czym konie wciągają go tam, gdzie stoją żołnierze i ci ziemią zasypują wykopane w r. 1940 przez Szwajcarów doły i rowy. Dużo jest tego. Wszystkie okoliczne lasy poryte są nimi. U nas pozostawiono by je czasowi i po latach dwudziestu pozostałyby zaledwie nieznaczne wgłębienia. W tym wymuskanym kraju rowy te zawadzają. Zresztą trzeba dać zatrudnienie internowanym. Niech zasypują!

Opodal jest zasypywany duży dół, lecz już tylko jedynie rękami żołnierzy. Stoją oni na różnych wysokościach i każdy szpadel zieni przerzucany jest kilka razy, zanim znajdzie się na swoim miejscu. Las jest rzadki, słońce przenika bez trudu poprzez nagie gałęzie buków, robota nie nagli, w powietrzu wisi jakiś wiosenny bezwład, zmuszający do częstych zapatrywań się w daleką przestrzeń, do leniwych pogwarek przy papierosie. Zresztą... dwa franki dziennie za 8, czy też jak od kwietnia — za 9 godzin pracy to nie za wiele. Tak powiadają sobie niektórzy.

Wśród pracujących jest paru takich, co stosunkowo niedawno wydostali się z kraju. Kiedy się patrzy na ich inteligentne i tak bardzo polskie twarze aż trudno uwierzyć, że byli przed iluś tam miesiącami w Toruniu czy w Warszawie i widzieli na własne oczy to, co my przeczuwamy zaledwie sercem. Chciało by się zapytać: a więc jakże tam było? — lecz świadomość, że opowiadanie swe musieli już powtarzać niezliczoną ilość razy, że dookoła stoi dużo ludzi, że się jest przedmiotem obserwacji — zamyka usta...

Inni pytają się mnie o różne rzeczy, — a to książki rolnicze, a to wysłany do redakcji wiersz, albo: dlaczego nie wszyscy podoficerowie kupują Gońca Obozowego? Na to ostatnie pytanie nie umiałem dać odpowiedzi. My, jako redakcja, zmusić ich do tego nie możemy, no ale na kogoż w wojsku mamy przede wszystkim liczyć, jak nie na przodowników?

Zwolna idziemy w górę ulepszoną i poszerzoną przez naszych drogą. Tu i tam świeże blizny po zasypanych rowach. To też robota naszych. I nasi pracują w tzw. kamieniołomie. Jest to jednakże wyłom w zboczu góry obnażający odwieczne osypisko różnej wielkości żwiru, pomieszanego z iłem, który pod ciśnieniem wielkiego ciężaru zlepił się, zbił w jedną niemal całość, rozrywaną przy pomocy kilofa i przesiewaną przez widły. Stąd, z tego miejsca, roztacza się cudowny widok na rozległą dolinę Limmatu i teraz zwłaszcza, w wiosenny, słoneczny czas, pracę tę można by traktować nieomal jako rozrywkę, by kości zbytnio nie zardzewiały w stawach. Lecz w zimie czy w jesieni, w czasie błota i pluchy godziny się dłużą w nieskończoność, a każda minuta opada na duszę kroplą goryczy i nudy.

Wracam na dół, do wsi, dosiadam roweru i po paru minutach jestem w wyludnionym obozie. Fryzjer setnie się nudzi w swym fryzjerskim, 4 metry kwadratowe liczącym, salonie, świetlica jest pusta, jedynie pracownia krawiecka i szewska nie próżnują. Na ścianie mnóstwo powycinanych z ilustrowanych pism głównie kobiecych: »Brunetki, blondynki, ja wszystkie te dziewczynki...« — śpiewał Kiepura. Powiadam do krawca: »Och, ależ macie tu istną galerię kobiet na ścianie!« »Ha — westchnął nieszczerze — jeśli inaczej nie wolno...« A, szelma! Sam w to nie wierzył, a i żaden z obecnych także.

W sali obok świetlicy kilkanaście ław szkolnych, czarna tablica, srogi nauczyciel i 13 uczniów. Przy każdym sterta książek i zeszytów. Aż dziw bierze, ile namnożyło się tych podręczników! Rozpiętość wieku uczniów jest wielka: od lat dwudziestu paru do czterdziestki. Od rumianych policzków, czupryny bujnej jak strzecha do siwych włosów i przygasłych oczu. A jednak zechcieli przezwyciężyć nudę i bezwład internowania, wyrzec się różnych nawyków i drobnych przyjemności — by zasiąść pospólnie nad książkami, które mają im choć w części wynagrodzić stracone na wojnie i internowaniu lata. Skarżą się jedynie na brak ciągłości pracy: tyle razy już tę naukę zaczynali!

Lecz to, czego się tutaj nauczą, będzie nie tylko ich dorobkiem, lecz i dorobkiem kraju, do którego wrócą światlejsi, bardziej przygotowani do walki na nowe, trudne życie. To jest praca dla nich, dla kraju. Bo inna, tam w lesie jest pracą na cudzym i dla obcych. I kiedym tak patrzał z tej wysokiej góry na rozległy, pogodny krajobraz, na mrowie domków, do słońca licem zwróconych, trudno się było opędzić natrętnej myśli, dlaczego jesteśmy tym narodem, który się rozsiadł na rozdrożu Europy i jest skazany na to, iż od wieków przelewa się po jego ziemiach zaborcza, zła siła sąsiadów, burząca raz po raz zręby naszego wspólnego domu, naszej ojczyzny?

Witold Wroński

Stolarz poszukiwany!

Poszukujemy wykwalifikowanego stolarza na okres około 3 miesięcy dla prac w Solurze (Solothurn). Po uprzednim porozumieniu się, wszystkie formalności związane ze zmianą miejsca pobytu załatwimy we własnym zakresie. Warunki do omówienia. Zgłoszenia prosimy kierować w języku francuskim lub niemieckim na nasz adres: „Pro Polonia“. Rossmarkt 17, Solothurn.

Dodatek Religijny

Poszukujemy dodatku religijnego nr 5. Redakcja zwraca uwagę, że poza tym dodatku religijnego obecnie zwracać nie należy.

SPORT

Nasi — Rheinfelden 4 : 2

W pociągu — przepełnienie. Kto żyw podąża do Bazylei na »Mustermesse«. My też zdążamy w tym samym kierunku. Choć nie do Bazylei, bo tylko do Rheinfelden, i nie na żadną wystawę na razie — tylko na mecz piłkarski.

Już od Effingen na każdej stacji przybywa nas coraz więcej. Jest niedziela (23 kwietnia), a więc dzień odpoczynku nawet na internowaniu. Po całym tygodniu wywijania łopatą czy siekierą każdy na poczekaniu przemienia się w zapalonego sportowca i głośno oblicza możliwości naszej drużyny piłkarskiej w dzisiejszym spotkaniu ze szwajcarskim zespołem Rheinfelden.

Optymiści są zdecydowani. — Nasi artylerzyści — słychać twierdzenie — nie dadzą się wykiwać.

A pesymiści na to:

— Ależ tych artylerzystów w naszej drużynie jak na lekarstwo!

W wagonie wybucha bomba. Znikają nagle stopnie, nie ma ani starszych ani młodszych, znajomych czy nieznajomych — wydaje się, że wszyscy nic innego w życiu nie robili, jak tylko kopali piłkę. Ponieważ ani razu od urodzenia żadnej piłki nie tknąłem, przeto usiłuję pogodzić rozkrzyczany wagon:

— Czy trzeba być koniecznie kimś od armaty, ażeby walić nogą w piłkę?

Oczywiście burza obraca się od razu przeciwko mnie. Że to nie ma żadnego »walenia w piłkę«, bo walić można tylko w bęben czy w pysk, że nie każda oferma — choćby nawet była z »Gońca« — może mówić tak lekceważąco o piłce nożnej, i że — w ogóle — poco taki na zawody się wybiera...

Ale tymczasem dojechaliśmy.

Dopiero na boisku — wypełnionym naszymi żołnierzami i ludnością szwajcarską — przekonałem się, co znaczy sportowo wyrobiona publiczność. Trzeba było tylko słuchać, a po kwadransie nawet największy nieuk mógłby napisać najbardziej fachowe sprawozdanie do najbardziej fachowego pisma sportowego, cóż dopiero do »Gońca«!

Więc słuchałem.

— Grają, jak z kamienia! — odzywa się ktoś z tyłu, spluwając przy tym siarczyście.

— Powinni jechać lewym skrzydłem, a oni furt tym prawym! — stwierdza inny.

— Te, tam! Łamaga! Wal ostro, nie miętoś tę piłkę, jak babę! — wybucha nagle burzą, gdy pod bramką przeciwnika następuje zamieszanie.

Ale fachowców wśród widzów było chyba więcej niż na boisku, bo do przerwy Szwajcarzy prowadzili 2 : 1.

Może dlatego w końcowej części gry polska widownia zawrzała prawdziwą burzą, popychając graczy za piłką, kopaną niemiłosiernie. A i gracze się zawzięli. Górując każdy z osobna nad każdym z przeciwników, pokazali mistrzowską grę zespołową. Szybko nastąpiło wyrównanie (2 : 2), potem podwyższenie wyniku do 3 : 2 i wreszcie wspaniałe zakończenie 4 : 2 dla polskiej drużyny.

Ale dokładniej o tym wszystkim napisze w następnym numerze prawdziwy fachowiec od piłki nożnej. Wolę na pierwszy raz nie ryzykować, bo — kto wie — może przyjdzie mi jeszcze spotkać się z naszymi piłkarzami, a wtedy...

Zastępca

OD REDAKCJI

T. G. — Wetzikon, K. K. — Wald, R. S. — Fryburg i A. B. — Winterthur: Nadesłany materiał wykorzystamy w jednym z najbliższych numerów.

Kr. T. — Rothenburg: „Pan szef“ pójdzie; prosimy o dalszy materiał z tego zakresu. Czekamy też na „kawały“, których nigdy nie jest za dużo.

A. B. — Hünenberg: „Pomarańczowy rozkaz“ — mimo naszych starań — nie pójdzie. Ze względów od nas niezależnych. Ciekawy materiał Pana przesłaliśmy do wiadomości Dywizji. Dziękujemy za nawiązanie z nami współpracy i prosimy o dalszą pamięć.

R. Ost. — Waltensburg: „W wielką sobotę“ otrzymaliśmy 18. IV, gdy numer świąteczny był już gotów. Prosimy o dalszą współpracę.

S. Kr. — Illarsaz: O terminie sprowadzenia Pana na rozmowy do nas powiadomimy we właściwym czasie. Przez wrodzoną wstydliwość zarumieniliśmy się z tej nazwy obozu na wspak... Pańskie krytyki „Gońca“ są dowcipne, może by Pan uzupełnił je uwagami swoich Kolegów?

Kajot: — Dowcipy na ogół słabe. Prosimy o więcej próbek. Może udałyby się „kawały“ z naszego życia?

K. E. — Büren: O tym zachowaniu się „pod wpływem nadmiernego spożycia alkoholu“ wykorzystamy. Prosimy jedynie o cierpliwość. Materiału z tej dziedziny mamy sporo. O pomocy naszej dla dzieci też pójdzie.

A. K. — Oberburg: Nadesłany materiał stopniowo wykorzystamy. Na przyszłość prosimy się liczyć z brakiem miejsca w „Gońcu“ — chodzi o styl prosty i możliwie zwarty. Pisać dobitnie a treściwie! Dotyczy to wszystkich współpracowników „Gońca“.

COŚ DO ŚMIECHU

Ma nadzieje

— No, jak tam ci idzie z Marysią?

— Dziękuję, załatwiłem już na 50%.

— To znaczy?

— Ja chcę, ona jeszcze nie!

— Masz choć nadzieję?

— Naturalnie. ale muszę jeszcze zaczekać. Powiedziała, że będę ostatnim, za którego by wyszła.

Pytanie

— Panie konduktorze, jak długo jedzie się ze Lwowa do Krakowa?

— Pięć godzin.

— A z Krakowa do Lwowa?

Konduktor patrzy zdziwiony: — Także pięć godzin. Przecież jest to ta sama odległość!

— Dlaczego? Przecież od poniedziałku do soboty jest pięć dni, a od soboty do poniedziałku tylko dwa! *Te-ka* (Alpnach-Dorf)

Lotniczy fortel

20-letni strzelec ogonowy Simpson, odznaczony za waleczność, zgłosił się do swego dowódcy z taką prośbą:

— Teściowa żąda od mojej żony, by ta spędzała z nią wolny czas. Moja żona nie jest pełnoletnia, podobnież jak i ja, więc nie śmie odmówić. Ale ma ochotę być w soboty i niedziele ze mną i ja też chcę tego. Czy pan nie mógłby skazywać mnie na koszarniaka co sobotę i przydzielać mi żonę do towarzystwa, powiadamiając jednocześnie mą teściową o tych wojskowych zarządzeniach?

— All right — rzekł dowódca — wystosujemy urzędowy list do teściowej. Cały dywizjon bierze was pod swoją ochronę!

Bohaterski lotnik pobiegł ze szczęśliwą nowiną do żony.

Klopot

— Mój mąż ciągle kaszle w czasie snu. Strasznie mnie to martwi.

— To nic, proszę pani! Mój stary uśmiecha się i to mnie jeszcze bardziej martwi.

Mozeby tak u nas?

W jednej z kantyn wojskowych w Anglii pewna starszawa świetliczarka doszła do przekonania, że żołnierze-mężowie nie piszą do swych żon tak często, jakby należało. Troskliwa pani postanowiła temu zaradzić.

Wydała mianowicie rozporządzenie, że w piątki wszyscy żonaci żołnierze mają pisać listy do domu. W te dni żonaci mogą otrzymać herbatę, ciastka i papierosy dopiero po okazaniu czułego listu do swej połowicy.

Ponieważ w okolicy nie ma żadnych sklepów, — okrutny przepis jest skwapliwie wykonywany.

ADRESY: Redakcja: Rédaction du Journal des Internés polonais, Baden (Aargau). Ekspedycja: Expedition du Journal des Internés polonais, Baden (Aargau), nr telef. 2.15.71.
Wpłaty dla „Gonca Obozowego“ (na blank. ziel.) Postcheck-Konto: Presseoffizier für Int. Zeitung — III, 13212, Bern.
Cena „Gonca Obozowego“: dla oficerow i aspirantow Fr. 0.25, — dla podoficerow i szeregowcow Fr. 0.15, — dla osob cywilnych (kwartalnie) Fr. 2.25.
L'Officier responsable du Journal des Internés polonais Major CORREVON, Commissariat Fédéral à l'Internement Poste de campagne 17.